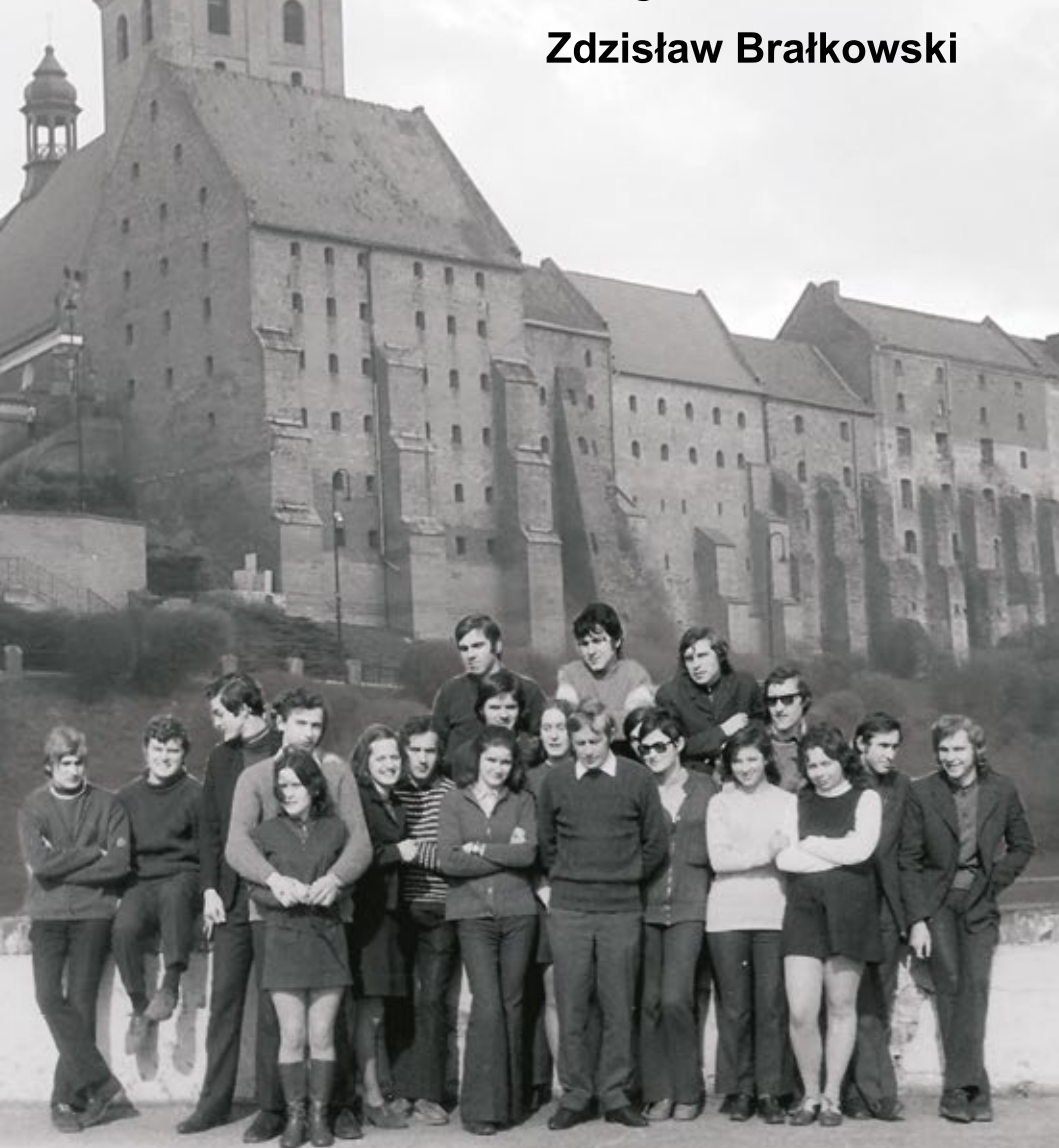


# Młodości szczęśliwa

Zdzisław Brałkowski



**Zdzisław Brałkowski**  
„Młodości szczęśliwa”  
Opowiadania  
Cykl: „Zza zasłony czasu”

Copyright © by **Zdzisław Brałkowski**, 2016  
Copyright © by **Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**, 2016

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej publikacji  
nie może być reprodukowana, powielana i udostępniana  
w jakiegokolwiek formie bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład: **Jacek Antoniewski**  
Projekt okładki: **Robert Rumak**  
Korekta: **Ryszard Krupiński**  
Ilustracje: **Zdzisław Brałkowski**

ISBN: 978-83-7900-537-6

**Wydawnictwo Psychoskok Sp. z o.o.**  
ul. Spółdzielców 3/325, 62-510 Konin  
tel. 63 242 02 02  
<http://wydawnictwo.psychoskok.pl>  
e-mail: [wydawnictwo@psychoskok.pl](mailto:wydawnictwo@psychoskok.pl)

# Spis treści

Wstęp . . . . .	5
<b>Rozdział I</b>	
Kolonie . . . . .	6
<b>Rozdział II</b>	
Pożar . . . . .	20
Powrót . . . . .	20
Rozmowy z mamą przy szorowaniu pleców . . . . .	23
Trochę dymu i wielkie halo . . . . .	32
Przesłuchanie . . . . .	40
<b>Rozdział III</b>	
Podchody . . . . .	60
<b>Rozdział IV</b>	
Lekcja geografii . . . . .	74
<b>Rozdział V</b>	
Nauczyciel ma zawsze rację! . . . . .	81
<b>Rozdział VI</b>	
Maderacy . . . . .	90
<b>Rozdział VII</b>	
Nago . . . . .	99
<b>Rozdział VIII</b>	
Ruskie przyszli! . . . . .	101
<b>Rozdział IX</b>	
Egzaminy wstępne . . . . .	119
<b>Rozdział X</b>	
Profesor Dzik . . . . .	130
Wojna wrześniowa . . . . .	130

Kto komu bije w dach . . . . .	137
W lewo... zwrot! . . . . .	143
Zeszyty . . . . .	148
Pudło . . . . .	155
Matka . . . . .	163
Szkolne tarcze . . . . .	168
Pod Cycem . . . . .	173
Oda do Dzika . . . . .	178
<b>Rozdział XI</b>	
Wranglery. . . . .	182
<b>Rozdział XII</b>	
Pan Czterdzieści . . . . .	206
<b>Rozdział XIII</b>	
Egzamin dojrzałości . . . . .	218

# Wstęp

**D**zieciństwo i młodość. Początek osobistej linii istnienia na najpiękniejszym ze znanych nam światów. Lata, które w większości wspomina się z przyjemnością, zapominając o tym, co było złe. To naturalny proces. Podświadomość chowa w najtajniejsze zakątki naszego umysłu wszystko, co zakłóciłoby wspomnienia z tego okresu jako czasu niefrasobliwego życia.

Czy to złe? Czy powinniśmy wszystko dokumentarnie zapamiętywać i przypominać? Nie; byłoby to błędem, często stwarzającym niepotrzebne już problemy. Lepiej zachowujemy we wdzięcznej pamięci to, co cieszy lub śmieszy, co było przygodami naszego dzieciństwa i młodości. Nasz mózg, owoc wielu milionów lat rozwoju życia na Matce Gai, nauczył się selekcjonować ten ogrom informacji, który włączamy do niego w czasie swego istnienia. Inaczej nastąpiłoby przeciążenie i... koniec. Kres naszej świadomości, indywidualnego odbioru pobytu na naszej pięknej planecie. Szkoda by było...

Podobnie jest z moimi wspomnieniami. Pamiętam (a może wolę pamiętać) to, co mogę przekazać w formie lekkiej, czasem zabawnej. Do poczytania w wolnej chwili, dla odprężenia i oderwania od zmartwień i trosk dnia codziennego.

Dla was jest ta książka, drodzy Czytelnicy. Zapomnijcie teraz o dniu dzisiejszym i zanurczcie się w lekturze. Może i u was otworzą się skrytki ze wspomnieniami z tych lat. Tym zaś, którzy są dużo młodszy, pozwolą spojrzeć na czasy osobiście im nieznanne oczyma rodziców i dziadków.

To było ledwie wczoraj...

## Rozdział I

# Kolonie

**M**iałem już prawie dziewięć lat, osobiście przeżytych od pierwszego dnia. Od momentu, kiedy oczka me zostały porażone jaskrawym światłem, a siły natury przymusiły do samodzielnego oddychania, pozbawiając przyjemności swobodnego i bezpiecznego pływania wewnątrz rodzicielki. Musiało to być straszne przeżycie. Tak straszne, że w trosce o me zdrowie psychiczne świadomość zablokowała pamięć i ani sekundy nie mogę sobie przypomnieć z tych pierwszych chwil.

Chłopczyk był ze mnie normalny, nie odstający fizycznie od innych, podobnych osobników biegających z wrzaskiem po naszym podwórku. Miałem wszystko na właściwym miejscu. Jeszcze nie znałem celowości posiadania ani przeznaczenia wszystkich przydanych przez naturę organów. Na to byłem za mały. Trądzik młodzieńczy również nie oswładnął jeszcze moim cielesnym jestestwem, a dziecięcej wyobraźni nie zakłócały grzeszne myśli przy patrzeniu na koleżanki.

To było w pamiętnym roku kryzysu kubańskiego, największego kryzysu po drugiej wojnie światowej, który omal nie rozpoczął trzeciej. Mieszkaliśmy już w Grudziądzu, mieście, które słynie na cały kraj z zachowanego z przeszłości wspaniałego zespołu spichrzów nad Wisłą. Przez ponad dwa stulecia było też jednym z największych garnizonów, z wielką liczbą jednostek i instytucji wojskowych – obcych w czasach pruskiego zaboru (po których została pamiątka w postaci cytadeli, chętnie dzisiaj zwiedzanej przez tysięczne tłumy turystów), a od 1920 roku już polskiego wojska.

W wakacje zostałem wysłany na miesięczne kolonie. Nikt mnie nawet nie zapytał, czy chcę jechać. Rodzice zdecydowali, zapakowali mi walizeczkę i wysłali z grupą innych niedorostków. Ojciec był zawodowym żołnierzem, znalazłem się więc na wojskowej kolonii w nadbałtyckiej osadzie Unieście. Miejsce pobytu było piękne, oddalone trochę od samej miejscowości. Najważniejsze, że do morza było bardzo blisko, o rzut kamieniem przez malutki lasek. Kolonia sąsiadowała przez płot z wojskową jednostką niebieskich beretów, obok rozciągały się ich tereny ćwiczebne. Czy dla takich jak my chłopcasiów można było znaleźć lepsze miejsce na letnie kolonie?

Pogoda była wymarzona do korzystania z uroków kąpielii w morzu. Przez prawie cały miesiąc pobytu świeciło nad nami słońce, a woda była jak podgrzewana. Nic, tylko kąpać się od rana do wieczora, tak jak uwielbiałem. Od malutkiego dzieciaczka, od takiego ty-ci-tyci, ledwie od matczynej spódnicy się oderwałem, a w letnich miesiącach przebywałem już godzinami w wodzie. Sam szybko nauczyłem się pływać. Teraz, na pierwszych w moim dotychczasowym krótkim życiu koloniach, w miejscu oddalonym od morza tylko o kilka minut spaceru wśród drzew, cieszyłem się z góry na przyjemności wodnych zabaw.

Napływałem się tyle, że do dzisiaj pamiętam te kolonie. Przez cały miesiąc upałów kąpaliśmy się aż dwa razy, po pełne pięć minut. Na dodatek nasz wychowawca pozwolił wejść do wody ledwie do pasa mojego mikrego jeszcze wzrostu. Myślałem, że oszaleję; być tak blisko morza i nie rozkoszować się kąpielą?! Cały czas kombinowałem, jak urwać się spod czujnego oka opiekuna, aby samopas spokojnie popływać.

Nic z tego. Wychowawcy tak pilnowali brzegu morza, a zwłaszcza nas mikrusów, że te dwa wejścia, ledwie na krótkie schłodzenie rozgrzanego ciała, to był mój cały kontakt z Bałtykiem przez okres pobytu. Zamiast kąpieleli, w upalne dni

ciągali nas na piesze wycieczki. Już po tygodniu takiej gehenny napisałem do domu, aby mnie z tego więzienia jak najszybciej zabrali; straszylem, że inaczej sam ucieknę. Bez oczekiwanego efektu. Ani nie zostałem odebrany, ani nie uciekłem; to były tylko moje marzenia. Nie odesłali mnie do domu nawet wtedy, kiedy w lasku zaplątałem się w zardzewiały drut kolczasty, widoczny ślad pozostały po toczących się tutaj bojach w czasie minionej wojny. Wyrwał mi ten drut kawałek ciała z kolana. Mimo bólu ucieszyłem się, że może to będzie koniec udręki. Próżna to była nadzieja. Ranę czymś tam fioletowym, a piekącym polali, zabandażowali i dalej więzili na kolonii. Jeszcze pocieszali, że do wesela się zagoi.

Mimo przeżytego zawodu, że nie zostałem odesłany do domu, poczułem się jak kombatant, weteran wojny. Przecież odniosłem ranę, rzucając się bohatersko na hitlerowskie druty! Mogłem chlubić się ranką przed kolegami, pokazać, że potrafię wytrzymać ból i opatrywanie kolana bez pojawienia się chociażby jednej łezki w oku.

Nosiłem wysoko uniesioną głowę aż do wieczornego apelu. Odbywał się on codziennie rano i wieczorem, z ceremoniałem wciągania i opuszczania flagi państwowej na maszcie oraz zbiorowym odśpiewaniem hymnu narodowego. Dźwięki Mazurka zawsze mnie unosiły, przeżywałem to bardzo emocjonalnie.

Któregoś wieczora, kiedy zaczęliśmy „Jeszcze Polska nie zginęła”, bezwiednie zacząłem podskakiwać w rytm melodii. Nie wiem, co mnie podkusiło; może ponownie chciałem udowodnić kolegom, że ta mała ranka na kolanie to nic, że dzielnie znoszę dokuczający mi ból. Podskakiwałem rytmicznie, owładnięty radością, jaka często ogarnia ludzi przy wspólnym śpiewaniu patriotycznych pieśni.

Zaraz po zakończeniu hymnu sam kierownik kolonii kiwnął palcem w kierunku naszej grupy kolonijnej:

– Podejdz do mnie, chłopcze.



Niepewni, rozejrzeliśmy się po sobie. Nie wiedzieliśmy, którego z nas kierownik wzywa. Powtórzył zniecierpliwiony:

– Mówilem, wystąp. Tak, ty z zabandażowanym kolanem.

– Tak jest, panie kierowniku! – odkrzyknąłem radośnie, podeksycytowany oczekującą mnie pochwałą za wzorowe odśpiewanie Mazurka Dąbrowskiego. Kierownik odczekał, aż stanę obok niego i wskazując na mnie, zaczął:

– Popatrzcie na niego. Śpiewamy wspólnie nasz hymn. Hymn, za który nasi ojcowie oddawali krew, a nawet życie. A on podskakuje sobie w czasie śpiewu. Podskakuje, jakby był na potańcówce! Taki ma szacunek dla naszego hymnu! – Najważniejszy człowiek na kolonii oskarżycielsko wycelował wskazujący palec prosto w moją biedną głowę.

Kompletnie zaskoczony, skuliłem się w sobie. Tak mnie pochwalił, aż mi w pięty poszło. Zjechał mnie od stóp do głowy wobec wszystkich, jak najgorszego z najgorszych. Rozwodził się szeroko o znieważeniu Mazurka, o skrajnie lekceważącym podejściu do pieśni, z którą nasi przodkowie szli do walki i ginęli.

Z opuszczoną głową stałem jak skazaniec na szafocie. Czuliłem się, jakby za chwilę szeroki katowski topór miał spaść na moją kruchą jeszcze szyję, by zakończyć przedwcześnie tak miłe mi życie. Już nie zobaczę słońeczka, nie będę się wygrzewał w jego promieniach, nie popływam w letnie dni. Szok mnie nie opuszczał. Nie mogłem nawet wydobyć głosu, gardło miałem ściśnięte jak powrozem, na którym zaraz zawisnę, jeżeli kat akurat zapomniał topora. Przecież ja tylko tak okazywałem radość, że śpiewam z innymi hymn, słowa i muzyka po prostu mnie unosiły...

Wreszcie, po długiej tyradzie, kierownik polecił mi wstąpić do szeregu. Wróciłem jak zbity psiak. Tyle że byle pies Burek mógłby przynajmniej podkulić ogon, a ja nawet tego nie mogłem zrobić.

Po kilku minutach, które dla mnie ciągnęły się bez końca, nieszczęsny apel się skończył. Nasza grupa kolonijna wracała w milczeniu, nikt z kolegów mi nie docinał, nawet patrzyli ze współczuciem. Nikt z nich nie chciałby znaleźć się w mojej sytuacji.

Od tego czasu nie byłem już tak wrywny. Hymn śpiewałem cichutko, pilnując się, aby stać nieruchomo i nie rzucać zbyt w oczy. Minęło kilka dni i zapomniałem o tym bardzo przykrym przeżyciu. Inne zdarzenia pochłaniały moją uwagę. Od jednostki wojskowej niebieskich beretów oddzielał nas tylko zwykły płot z siatki drucianej. Szybko nawiązaliśmy dość ścisłe kontakty z żołnierzami, odbywającymi obowiązkową służbę zasadniczą. W tamtych czasach wojacy prawie nie opuszczali koszar, my natomiast wychodziliśmy dość często do Unieścia. Żołnierze zaczęli nas prosić o zrobienie drobnych zakupów. Chętnie spełnialiśmy ich prośby, mając na oku obopólną korzyść i licząc na wzajemność. Początkowo nie wiedzieli, jak się nam odwdzięczyc, ale szybko nakierowaliśmy ich na tory właściwego myślenia. Wystarczyło kilka niby mimowolnych wypowiedzi.

Pierwszym, który odważył się przejść do konkretów, był Włodek:

– Proszę panów, a nie macie coś na zbyciu? Coś, no wiecie, co wam niepotrzebne, a nam by się przydało.

– O czym ty, chłoptasiu, mówisz? – zdziwił się jeden z naszych znajomych komandosów.

– No, przecież macie coś tam w koszarach. – Włodek uśmiechnął się przymilnie.

– Co, może kałacha wam się zachciewa?! – komandos wybuchnął głośnym śmiechem. – Słyszycie, chłopaki? – odwrócił się do swoich kolegów. – Chłoptasie palą się do strzelania. Ledwieście od ziemi odrośli, a już o kałachu myślicie, co? – te słowa rzucił kpiąco już w naszą stronę.

– Nie, panie szeregowiec. Coś mniejszego. No coś na pewno macie. – Włodek stracił początkowy rezon, ale próbował jeszcze negocjować.

– O, znasz się już na stopniach, co? A jak będę miał belkę na ramieniu, to jaki stopień?

– Starszy szeregowiec.

– No proszę, wie. A dwie belki to kto nosi?

– Kapral, panie szeregowcu.

– Mówi się obywatelu. Obywatelu szeregowcu.

– Tak jest, pa... obywatelu szeregowcu! – dziarsko odchrząknął nasz kolega.

– O, widać żeś syn żołnierza. No dobrze. Coś wam się należy. Ale my nic nie mamy. Nic, co moglibyśmy wam dać. – Komandos, zafrapowany, zdjął z głowy niebieski beret i podrapał się w nią.

– Może petardy hukowe? Albo lepiej świece dymne? – wtrącił się jego kolega. – Stosy ich na ćwiczeniach zużywamy, żaden problem. Chłopcom faktycznie coś się należy za przysługi. Krzywdy sobie nimi nie robią.

– To jest myśl. Co chłopacy, chcecie świece? Petardy nie, ale świece możemy załatwić. Nauczymy was, jak je zapalać, to żaden problem.

– Jasne, obywatelu szeregowcu! – odchrząknęliśmy radośnie. Świece, to było coś!

Komandosi nie byli w ciemię bici, do niebieskich beretów nie brali byle kogo. Wiedzieli, jak je dla nas skombinować. W efekcie w krótkim czasie nasze torby, plecaki i walizki zaczęły się wypełniać wojskowymi świecami dymnymi różnego rodzaju, przeznaczenia i kształtów. Żołnierze nie mieli problemu z ich zdobywaniem dla nas. Pod koniec naszego pobytu nie mieliśmy już gdzie ich pakować. Jednak nie wypadało odmawiać zapoznanym wojakom, a i serca by nam rozpękły z żalu, gdybyśmy zrezygnowali z tak cennego dla nas dobra. Lepiej kłopotać się

z powodu nadmiaru bogactwa niż jego braku. Nadwyżki zaczęliśmy więc chować w krzakach obok naszego baraku i w innych miejscach, ukrytych przed oczami opiekunów.

Znajomi komandosi zaproponowali nam nawet, w dowód wdzięczności za nasze drobne przysługi, ćwiczebne miny przeciwczołgowe. Widzieliśmy, że za ogrodzeniem leżało ich wiele, porzrzucanych na polu ćwiczeń. Nikt ich nie zbierał, leżały jak beżpańskie. Oczy aż nam się śmiały do tego rodzaju wspaniałej pamiątki z kolonii. Z przykrością, ale jednak musieliśmy odmówić żołnierzom przyjęcia takiego podarunku – były o wiele za duże, o średnicy kierownicy samochodu. Do tego bardzo ciężkie, nie na nasze dziecięce możliwości fizyczne. Żal nam jednak długo serca ściszał. Dopiero by po naszym powrocie inni koledzy z podwórka wybałuszili oczy z zazdrości!

Świec mieliśmy już dosyć. Natomiast to, o czym na początku myśleliśmy, coś mniejszego i bardziej poręcznego z chęcią byśmy jeszcze przyjęli. Jedną małą rzecz. Długo mieliśmy obawy przed ponownym poproszeniem o nią, aż wreszcie Jędrzek zdobył się na odwagę i któregoś dnia zagadnął znanego nam już z imienia komandosa:

– Panie Stasiu, już dziękujemy za świece. Mamy ostatnią maleńką prośbę. Nie macie jakiegoś niepotrzebnego pistoletu? Może być mały i nawet zepsuty, taki na złom. Nawet byśmy kilka złotych zapłacili. – Cała nasza grupka z napięciem wpatrywała się w niego. Uda się, czy nie? Znamy się już tak długo, to już inaczej brzmiąca prośba niż na początku naszej znajomości.

– Czyście chłoptasie z konia spadli?! Coście wymyślili?! Pistolet?! Pistolet to nie świece! Za takie coś powinienem wam tyłki pasem spruć! – komandos aż się zatchnął z zaskoczenia i zdenerwowania.

– My się tylko tak spytaliśmy, jakby pan miał niepotrzebny jakiś – próbował mitygować drugi kolega, Włodek.

– Uciekajcie mi, ale już! Już was nie ma! – Żołnierz wściekł się nie na żarty.

Ojoj! Takiej reakcji nie spodziewaliśmy się. A tak byliśmy komandosom uczynni! Mimo że oddzielał nas druciany płot, woleliśmy wziąć nogi za pas. Co się naszemu Stasiowi dzisiaj stało? Giez go ukąsił, czy co? Świece nowe nam dawał, a jakiegoś starego pistoletu żałuje? Przecież mówiliśmy, że może być nawet zepsuty. I zrozum tu dorosłych!

Niestety, w tej prostej sprawie znajomy pan Stasiu okazał się zwykłym sknerą.

Nie udało się więc nam wejść w posiadanie najbardziej pożądanej rzeczy – jakiegoś małego pistoleciku. To dopiero byłoby cudo w naszych rękach! Tym nikt dotąd nie mógł pochwalić się na podwórku! Ojcowie nasi przechowywali w domach pistolety służbowe, ale zbyt dobrze ich pilnowali. Najwyżej dali się nimi pobawić pod własnym czujnym okiem, wyjmując najpierw magazynek z nabojami. Nawet w lufie sprawdzali. A co to za zabawa, kiedy starzy obserwują? Zawsze tylko przeszkadzają.

Markotni, pogodziliśmy się z myślą, że nie będziemy mieli pistoleciku, zaś z oferowanych nam min ćwiczebnych sami musieliśmy wcześniej zrezygnować. Mieliśmy jednak świece dymne. Zawsze coś. Ponieważ dostaliśmy ich tak dużo, mogliśmy spokojnie podzielić je na dwie części – pierwsza została przeznaczona do wykorzystania w czasie nadchodzącej „zielonej nocy”, drugą chcieliśmy zabrać do domu, z myślą o ich późniejszym wykorzystaniu.

Pozostałe dni pobytu na kolonii poświęciliśmy na szlifowanie strategicznego planu wykorzystania świec w ostatnią noc. Role zostały sumiennie podzielone – kto i za co odpowiada, jaki rodzaj świec i gdzie wykorzystamy, kto podkłada i je zapala. Nie zapomnieliśmy o wyznaczeniu czujek, a nawet o przygotowaniu drogi odwrotu do swoich pokojów. Z tym ostatnim

nie było większego problemu – spaliśmy w wieloosobowych salach parterowych baraków, a okna były umieszczone niewysoko nad ziemią. Wystarczyło niezbyt dokładnie zamknąć jedno z nich. Wspięcie się z zewnątrz i wejście do pokoju nie było dla nas problemem, przecież w domu ciągle ganiałismy po drzewach przyległego parku.

Solidnie napracowaliśmy się przy precyzyjnym opracowaniu planu, ale za to pod koniec rozpierała nas duma z efektu. Nie na próżno byliśmy synami zawodowych żołnierzy. Wydawało się, że „mucha nie siada”. Operacja „Zielona Noc” wyglądała na perfekcyjnie przygotowaną. Nasza kilkuosobowa gromadka z jednego podwórka z niecierpliwością oczekiwała nadejścia ostatniej nocy pobytu. Miała być na długo zapamiętana.

Niestety, przekonaliśmy się boleśnie, że nawet najdoskonalszy plan ma luki lub słabe miejsca. Nigdy nie można przewidzieć wszystkiego. Naszym najsłabszym punktem okazał się, jak to często bywa w takich operacjach, czynnik ludzki. Może ktoś od nas nieopatrznie wygadał albo zdradził któryś ze znajomych nam żołnierzy. Może nie przewidzieliśmy czujności kierownika kolonii i wychowawców oraz ich doświadczenia zdobytego w nieustannych bojach z kolonistami w poprzednich latach. Jak się stało, tak się stało. W każdym razie, kiedy ostatniego dnia przed zieloną nocą wróciliśmy z obiadu do sali sypialnej, naszym dziecięcym, ale już rozpalonym przedbitewnym oczekiwaniem oczom ukazał się dramatyczny widok. Pokój wyglądał jak prawdziwe pobojuwisko – łózka wybebeszono z materacy; nasze plecaki, torby i walizki leżały porzrzucone i pootwierane. Wyrzucono z nich wszystkie rzeczy, w ogóle nie troszcząc się o porządne ich ułożenie. Wielka gromada rozmaitych bambetli była przemieszana bez ładu i składu.

Jednak nie wszystko było chaosem. Na środku sali widniała jedyna uporządkowana struktura – świece dymne, równiutko

ułożone w gustowne piramidki. Nasze bogactwo, przez tyle dni z trudem zdobywane i skrzętnie w zakamarkach bagaży ukrywane, ujawnione zostało postronnym oczom. Leżały świece mniejsze, które mogły dać dym w jednym z trzech kolorów – białym, żółtym lub czerwonym. Obok ułożone były trochę większe. Były też te najlepsze, prostokątne, o wielkości małej paczki mieszczącej dziesięć pudełek zapalek. Składały się z trzech oddzielonych przegródkami części. Każdą z nich podpałało się osobno, tak jak pokazali nam znajomi komandosi, i każda dawała dym innego koloru. Kiedy zapaliło się wszystkie jednocześnie, to widok był wprost cudowny – przez długie kilka-kilkanaście minut wydzielały gęste kłęby trójkolorowego dymu. Trzeba było tylko bardzo uważać i szybko oddalić się po zapaleniu. W przeciwnym wypadku nieostrożny „dymomistrz” później przez dłuższy czas kasłał i przecierał zażawione oczy.

Wiedzieliśmy o tym, gdyż dużo wcześniej w ustronnym, oddalonym od baraków kolonijnych miejscu, sprawdziliśmy doświadczalnie jakość pierwszych otrzymanych świec. Nie mieliśmy zamiaru kupować kota w worku – za nasze usługi dla wojaków chcieliśmy otrzymywać porządny towar, a nie jakieś wybrakowane czy zleżące badziewie. Uczciwa transakcja handlowa to podstawa wzajemnego zaufania. Po przeprowadzeniu praktycznej próby byliśmy pewni – komandosi dostarczyli towar pierwowo sorta! Obawialiśmy się tylko, czy wychowawcy czegoś się nie domyślili – zapalona w czasie próby świeca na kilka minut pół nieba przesłoniła, dym było widać z daleka. Jednak nikt z kolonijnej kadry niczego nie szukał, nie rozpytywał. Widocznie słusznie założyli, że to ćwiczą niebieskie berety. Zresztą nawet jeżeli coś podejrzewali, to minęło już tyle dni, że pewnie dawno zapomnieli.

A jednak nie zapomnieli. Mieliśmy przed naszymi oczyma widoczny dowód, że srodze pomyliliśmy się w ocenie ich możliwości kojarzenia faktów. Jak wytrawni stratedzy poczekali

na ostatni moment, aby zadać nam śmiertelny cios w chwili, kiedy już szykowaliśmy się do triumfalnego przeżycia zielonej nocy. To najbardziej zabolęło. Byliśmy przecież tak blisko zakończenia kolonii w sposób, jaki zaplanowaliśmy...

To była prawie całkowita klęska, nasza Canossa. Świece dymne, dotąd tak sprytnie ukrywane w kuferkach przed wychowawcami, zostały odnalezione i wydobyte na światło dzienne. Tragedia dla całej grupy i dla każdego z nas z osobna; nic już nie wyjdzie z tak pięknie zapowiadającej się ostatniej nocy na kolonii. Do tego obok stali wychowawcy i jeszcze uśmiechali się z przekąsem. Sadyści, prawdziwi sadyści! Naigrawali się z nas wyraźnie. A kierownik kolonii, główny sadysta i pewnie sprawca tego kipiszu, nawet się hamował, tylko śmiał bez umiaru. Jak tak można się naśmiewać z czyjegoś nieszczęścia?!

Myśleliśmy, że dzisiaj już nic gorszego nas nie spotka. Nie oszczędzono nam jednak niczego w tym dniu. Szybko się przekonaaliśmy, że chcieli nas pognębić dokumentnie. Kierownik wyszedł na środek sali i z beładnego stosu bagaży wyciągnął pierwszą z brzegu walizeczkę.

- Czyja to? - zapytał słodziutkim głosem.
- Mm... moja - wykrztusił przez ściśnięte gardło jeden z nieszczęśników.
- Twoja? Wystąp! Ile miałeś schowanych świec?
- Dw... dwie.
- Zgadza się. Zabieraj walizkę. Następny... czyj to plecak?
- Schylił się i podniósł kolejny bagaż.
- To mój, panie kierowniku. - Inny biedak podniósł rękę w górę.
- Ach, twój? Ile miałeś świec?
- Też dwie.
- Też dwie? Tylko dwie? Kłamiesz. Miałeś cztery. Kto cię tak nauczył kłamać? - Kierownik podniósł głos. - Za karę chwytaj



za grabie i przez godzinę pograbisz alejki. Twój wychowawca pokaże ci, które i sprawdzi robotę. Kolejna... czyja to walizka?

- Moja. - Tym razem to ja musiałem się odezwać.

- Twoja? Ile miałeś świec?

- Trzy, panie kierowniku. - Widziałem wpadkę poprzednika i wolałem nie ryzykować.

- Trzy... tak, trzy. Zgadza się. Zabieraj walizkę. Następny...

Nie było nawet możliwości jak oszukać. Kierownik trzymał ukrytą w rękę karteczkę. Kiedy delikwent zgłaszał swoją własność i przyciskany występował wreszcie ilość posiadanych świec, nasz kolonijny ojciec ukradkiem zerkał na papierek. Wielu jeszcze zostało przyłapanych na mijaniu się z prawdą, nim się moi mali bracia w biedzie także zorientowali, że lepiej nie próbować kręcić, tylko od razu wyśpiewać wszystko. Jak na spowiedzi. W przeciwnym wypadku nie pomagały próśby i próby tłumaczeń, że po prostu zapomnieli, ile mieli świec. Nie było zmiłuj.

Duża grupa nieszczęśników nie miała tego dnia wolnego popołudnia. Przed kolacją na ścieżkach między barakami nie można już było znaleźć nawet najmniejszego papierka czy niedbale leżącej igły sosny. Ta nienaturalna czystość była jednak marnym pocieszeniem dla przymusowych ochotników do sprzątania.

W sromocie i poniżeniu zjedliśmy kolację. Niektórzy nie mieli nawet apetytu, inni co chwila ocierali nagle pojawiającą się na policzku niemęską łzę. Taka kłęska, taka kłęska. Tyle dni przygotowań i wszystko runęło jak domek z kart.

Kierownik kolonii i wychowawcy triumfowali. Byli przekonani, że ich przewencyjna akcja przyniosła oszałamiający sukces. Utwierdziła ich w tym zielona noc, która minęła prawie w całkowitym spokoju. Przecież wysmarowanie pastą do zębów klamek przy drzwiach i buzi co poniektórych nieboraków to była tylko nędzna namiastka tego, co mieliśmy w planie

przeprowadzić w ramach operacji „Noc Zet”. Wyglądało na to, że naprawdę odnieśli nad nami druzgocące zwycięstwo.

Na szczęście tylko tak wyglądało. Wychowawcy nie wiedzieli, że przegraliśmy jedynie bitwę. Ważną, ale tylko bitwę. Zdarza się, fortuna wojenna na pstrym koniu jeździ. Nasza klęska, według nich całkowita, była tylko preludium przyszłych wydarzeń.

Rano, jeszcze przygnębieni tak szczątkowymi, w stosunku do naszych oczekiwań i przygotowań, efektami operacji „Zielona Noc”, w milczeniu zjedliśmy śniadanie. Potem zabraliśmy się za pakowanie naszego skromnego dobytku kolonijnego. Za dwie godziny mieli nas zabrać do domu.

Niezbyt długo byliśmy markotni. Wiedzieliśmy, w przeciwieństwie do wychowawców, że nie wszystko było stracone. Może Polak przed szkodą i po szkodzie jest głupi, ale to przysłowie dotyczyło dorosłych, a nie nas, małych Polaków. Pamiętaliśmy, że część świec dymnych pochowaliśmy w krzakach niedaleko kolonijnych baraków, kiedy zabrakło nam już miejsca w tobołkach. Pierwotnie to właśnie te świece miały być wykorzystane w ramach „Operacji Zet”, a schowane w plecakach i walizkach mieliśmy zabrać do domu. W zaistniałej sytuacji zostało tylko jedno rozwiązanie – nadwyżka świec pochowana w krzakach musiała nam wyrównać poniesione wczoraj materialne straty bojowe. Nie zostały użyte na kolonii, to zostaną efektywnie wykorzystane dopiero po powrocie. Przynajmniej częściowo osłodzi nam to gorycz pierwszej porażki.

Nie mogliśmy już sobie pozwolić na dalsze straty w świecach. Nasza bojowa grupa podwórkowa postępowała więc wyjątkowo ostrożnie. Oczekaliśmy do momentu, kiedy wychowawcy zajęli się sprawdzaniem opuszczanych przez nas pokoi, liczeniem sprzętu kwaterunkowego i innymi ważnymi dla nich sprawami, tak jak to się dzieje na zakończenie

dłuższego grupowego pobytu. Pojedynczo, aby nie wzbudzać podejrzeń, po cichu, niby na spacer dla rozluźnienia nóg przed długą podróżą, wymykaliśmy się w nam tylko znajome miejsca. Tym razem obyło się bez wpadek, które mogły spowodować ponowne przeszukanie naszych bagaży. Uratowanych przed konfiskatą świec nie było zbyt dużo, ale chociaż w części odtworzyliśmy poprzednie zapasy. Ulżyło nam. Po powrocie na pewno dobrze je wykorzystamy!

Przed wyjazdem nie było już żadnych przykrych niespodzianek. Wychowawcy, syci odniesionego nad nami zwycięstwa, nie zaglądnęli ponownie do bagaży podopiecznych. My zaś, zdyscyplinowani i potulni, grzecznie zajęliśmy miejsca w podstawionym autokarze. W czasie kilkugodzinnej podróży mieliśmy dość czasu na opracowanie nowego planu, którego realizacja, już w domu, miała zetrzeć hańbę sromotnej klęski kolonijnej. Niedoczekanie ich! Tak łatwo się nie poddajemy. Tym razem jednak będziemy dużo bardziej ostrożni. Zaprzysięgliśmy sobie nawzajem, że dochowamy tajemnicy, chociażby smażyli nas na wolnym ogniu, choćby cęgami wrywali nam paznokcie. Nic nie powiemy! Żadnego paplania czy chwalenia się w obecności niewtajemniczonych osób. Nasze twarzyczki mają wyglądać jak buzie aniołków. Jesteśmy przecież tylko niewinnie skrzywdzonymi ofiarami niehumanitarnego systemu wychowawczego, wymyślonego przez dorosłych. Oni najlepiej wszystko by zepsuli. My jednak nie pozwolimy, aby stłamsili i zniszczyli najlepsze pomysły najwartościowszej części przyszłości narodu. Wbrew wszystkim przeszkodom i kłodom rzucanym nam pod nogi dotrzymamy przysięgi milczenia aż do „Godziny Zero”. Ona będzie naszym rewanżem, prawdziwym triumfem po poprzedniej klęsce.